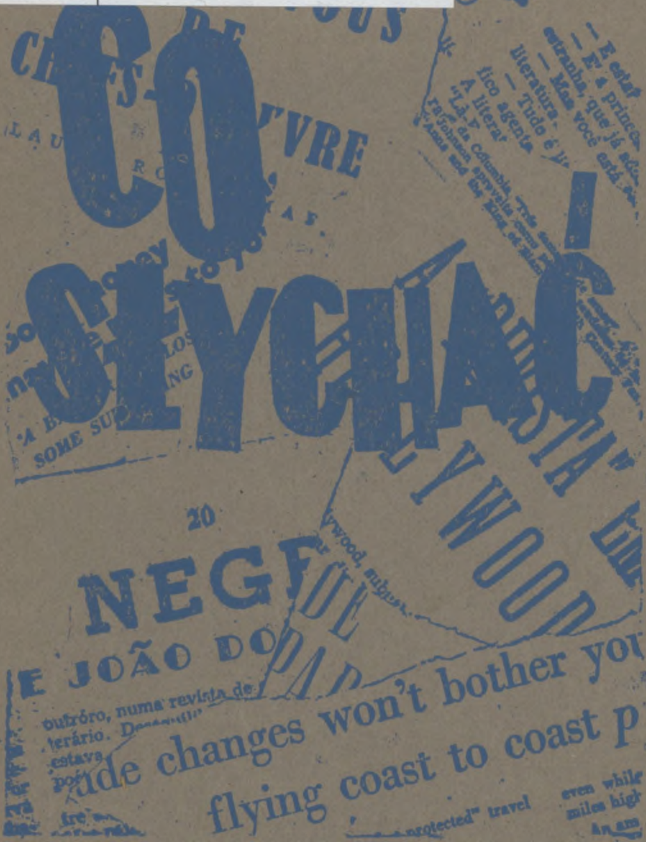


CENA
1/-

*

STYCZEŃ-
LUTY
1948

*

Rok IX
No. 1-2/187/8

TREŚĆ:

— Amerykański sztab generalny wie o tym bardzo dobrze, że sowiecka armia wkroczyć może z łatwością na tereny naftowe Arabii. Ale — z drugiej strony — Rosjanie wiedzą, że z pól naftowych w Baku zrobić można w przeciągu 48 godzin to samo co z Bikini. A Baku — to przecież dwadzieścia milionów ton ropy."

...„Jedna groźba paraliżuje drugą. A pokój zyskuje na tej dziwacznej równowadze" — konkluduje A. Labarthe.

* * *

"News Review" informuje, że obecnie wszystkie wyspy znajdujące się w rejonie bieguna południowego między 35 i 55 stopniem szerokości geograficznej, które mogłyby być wykorzystane dla celów metereologicznych.. i innych, są już w posiadaniu mocarstw zachodnich.

W związku z ostatnią podróżą inspekcyjną szefa obrony Brytyjskiego Imperium, marsz. Montgomery'ego i jego konferencją z marszałkiem Smuts'em południowo - afrykańska fregata „Transvaal" okupowała podbiegunową wyspę Prince Edward. Krążą pogłoski, że wyspę tę sprzątnięto sprzed nosa Rosjanom, których flota wielorybnicza krążyła w pobliżu Prince Edward.

„Transvaal", otrzymawszy tajne rozkazy, wyruszył z Capetown dnia 21 grudnia i wysadził na wyspie Prince Edward załogę stacji meteorologicznej, sprzęt i zapasy żywności.

W tym samym czasie ze statku marynarki australijskiej zeszli meteorologowie australijscy na ląd podbiegunowej wyspy Heard.

Oficjalnie podaje się jako cel obu tych ekspedycji utworzenie stacji metereologicznych, któreby nadawały komunikaty o warunkach atmosferycznych w kręgu polarnym. Prasa południowo-afrykańska wspomina jednak o projekcie utworzenia tam b a z l o t n i c z y c h które miałyby duże znaczenie w ułatwieniu komunikacji.. i na wypadek wojny.

* * *

Organ Watykanu „L'Osservatore Romano" zamieścił ostatnio bardzo znamienny artykuł:

„Historia stanęła dziś wobec ścierania się nie tylko dwóch przeciwnych sobie potęg politycznych i gospodarczych, ale i odmiennych umysłowości, światopoglądów i pojęć moralnych.

Zbliżają się dni, kiedy świat zrozumie i odczuje, że płaci powszechnym nieszczęściem za największy błąd swej cywilizacji:

Oto — zburzywszy jedność duchową, owoc wiary, narody zgubiły się w poszukiwaniu nowej wspólnoty, nowych prawd i zasad opartych na materializmie, nie zdając sobie sprawy, że bez wspólnych praw moralnych każda nowa zasada będzie nie tylko chimerą, lecz — co gorsza —stanie się źródłem wzajemnej nienawiści i walki."

Artykuł kończy się apelem do ludzi dobrej woli, ufających Opatrzności, aby „jak długo to będzie jeszcze możliwe, aż do końca", starali się o zachowanie pokoju

Katolicki tygodnik „Życie", komentując powyższy artykuł, podkreśla, że jest to apel prawie tragiczny. A wiadomo, że Watykan nie zwykł bić na alarm bez powodu.

DOBRY POMYSŁ — TO GRUNT

Mówią ludzie. „Bez dużego kapitału nie można dziś niczego zaczynać. Nie wytrzyma się konkurencji z wielkimi firmami."

Nie mają racji. O powodzeniu przedsiębiorstwa decyduje nie tyle wysokość posiadanego kapitału, ile dobry, oryginalny pomysł.

Panie Mabel Elstrom i Ruth Pauly z Minneapolis nakłopotały się dość w czasie wojny, by jako tako przyodziać swoje dzieci. Nieraz straciły cały dzień, by znaleźć w sklepach coś odpowiedniego. Znudziła im się wreszcie ta bieganina po sklepach i pewnego dnia postanowiły same zabrać się do roboty. Gdy sąsiedzi zauważyli po pewnym czasie jak pięknie są ubrane dzieci tych dwu pań, i dowiedzieli się, że wszystko jest szyte w domu, zaczęli zasypywać zamówieniami obie pracowite matki. Panie Elstrom i Pauly postarały się o kilka maszyn do szycia, wynajęły na pracownię nie używany garaż i przyjęły parę kobiet do pomocy. Dziś ich pracownia zatrudnia 60 szwaczek i produkuje sto tuzinów ubrań dziecinnych dziennie.

William Philips posiadał w Europie przed wojną przedstawicielstwo firmy General Motors. Żona jego była malarką i rzeźbiarką. Gdy wybuchła wojna, oboje wrócili do Ameryki i otworzyli w N. Jorku mały warsztat wyrobów skórzanych. Wyrabiali na zamówienie przede wszystkim t. zw. „listonoszki", torebki damskie z paskiem do przewieszania przez ramię. Listonoszki weszły wkrótce w modę, tak że trudno było nadążyć z robotą. Wieczory spędzali państwo Philips na projektowaniu wzorów torebek, teczek na akty, notesów i walizek, a w dzień oboje krajali skórę, szyli i kleili. Obecnie pomaga im w pracy 14 robotników, z pośród których co roku wybierają jednego na wspólnika swej firmy. Wartość towaru, wyprodukowanego przez ich wytwórnię w ciągu roku, wynosi około 100.000 dolarów.

Po dwóch latach pracy w warsztacie, założyli państwo Philips w Pensylwanii małą fabryczkę, zatrudniającą 40 robotników. Jeżeli jakiś artykuł, wytwarzany na zamówienie w warsztacie nowojorskim, osiąga powodzenie państwo Philips przesyłają go do pensylwańskiej fabryki, gdzie przechodzi na produkcję masową. Wartość rocznego obrotu tej fabryki wynosi około 200.000 dol.

Państwo Philps noszą się obecnie z zamiarem otworzenia innych małych wytwórni, pracujących na zamówienie: wytwórni wyrobów z drzewa i metalu, farbiarni i pracowni białoskórniczej. Za-

chęcają innych, by szli w ich ślady. Niedawno pomogli dwóm zdemobilizowanym żołnierzom w założeniu warsztatów galanterii skórzanej w San Francisco i w Denver. Obu żołnierzom dobrze się dziś powodzi.

Henryk Cobs, pracownik drogeryjny w Brooklyn, musiał na kilka lat przed wjną porzucić swą pracę i — ze względu na zdrowie żony — przenieść się na południe. W starym, rozklekotanym Fordzie zawiózł całą rodzinę na Florydę. Po długich staraniach dostał zajęcie: zrywanie pomarańcz. Praca ta nie była bardzo popłatna, więc cała rodzina żywiła się przeważnie wybrakowanymi pomarańczami. Pewnego dnia Cobs wpadł na pomysł smażenia konfitur z pomarańcz, z którymi nie było co robić, i sprzedawania ich w przedsionkach miejscowych hoteli. Hotelowym gościom przypadały do smaku Cobs'owe konfitury i niejeden, odjeżdżając, prosił, by mu je stale przesyłano pocztą.

Cobs zaczął eksportować konfitury, a gdy mu ten interes dobrze poszedł, postanowił zaryzykować i otworzył przedsiębiorstwo eksportu owoców. Próbowały już tego wielkie firmy, ale wkrótce zrezygnowały, bo im się interes nie opłacał. Wiele owoców psuło się w drodze, odbiorcy skarżyli się na złe opakowanie, a bardzo często stwierdzali, że takie same owoce dostać mogą na miejscowym rynku.

Cobs o tym wszystkim wiedział, kupował więc tylko najlepsze gatunki owoców, pakował je bardzo starannie, i płacił odszkodowanie w wypadku uszkodzenia przesyłki. Dziś Cobs ma trzy miliony dolarów rocznego obrotu. Jego dom wysyłkowy w Miami na Florydzie eksportuje dziennie 10.000 paczek owoców.

Pastorzy też miewają czasami dobre pomysły. Wielebny Earle Williams z Los Angeles miał na swym koncie bankowym... 35 dolarów. Sprzedał jednak radio i stare auto, zaciągnął pożyczkę i kupił aparat do nagrywania płyt. Zaczął nagrywać muzykę religijną i pieśni kościelne, sprzedawał te płyty rozgłośniom radiowym. Gdy na tym trochę zarobił, nabył urządzenie do nagrywania własnych płyt i rozpoczął sprzedawać płyty prywatnym nabywcom. Interes szedł jednak nieszczególnie. Mr. Williams wprowadził wówczas pewną inowację: prócz muzyki religijnej nagrywał słuchowiska, oparte na tematach biblijnych. Z tych płyt sporządził kilka kompletów i nakłonił szefów działów muzycznych w wielkich domach towarowych, by je produkowali klientom. Tym razem pastor trafił w sedno; dał publiczności amerykańskiej to, co odpowiadało jej smakowi.

W r. 1945, w trzy miesiące po rozpoczęciu sprzedaży, obroty wytwórni pastora Williamsa wynosiły 500 dolarów, w r. 1946 osiągnęły kwotę 50.000 dolarów. Dziś założona przez niego spółka produkuje płyty w językach hiszpańskim i portugalskim dla Ameryki Łacińskiej oraz płyty francuskie i chińskie.

Gene Gilbert, student uniwersytetu, zaczął pewnego dnia zastanawiać się nad systemem ankietowym, który przynosi krocie dolarów Instytutowi Gallupa. Doszedł do przekonania, że w tym systemie jest wielka luka: Gallup nie przeprowadza ankiet w ś r ó d m ł o d z i e ż y. Postanowił z tego skorzystać. Przestudiował dokładnie metody pracy tej wielkiej organizacji, zebrał grono kolegów, wręczył im teksty ankiet i rozesłał między studentów.

Dziś jest Gilbert prezesem Instytutu Ankietowego Młodzieży, największej tego rodzaju instytucji w Ameryce. Pobiera honoraria w kwocie 1.500 do 25.000 dolarów od wielkich magazynów, domów towarowych i innych przedsiębiorstw za informacje o tym, co młodzież lubi, a czego nie lubi.

Dobry pomysł dużo znaczy nie tylko w nowych dziedzinach pracy. Lou Reese, pracownik ceramiczny, miał zawsze sporo pomysłów, ale nigdy nie udało mu się zainteresować nimi swego pracodawcy. Pewnego razu natrafił w stanie Ohio na starą, dawno porzuconą garncarnię. Pomówił z przyjaciółmi i niebawem rozpoczął wraz z nimi pracę nad doprowadzeniem garncarni do porządku i uruchomieniem produkcji. Przez sześć tygodni pracowali wszyscy za darmo od świtu do nocy. Reese zainstalował w garncarni maszyny, skonstruowane według własnego pomysłu, zaoszczędzające wiele ludzkiej pracy, i postanowił ograniczyć produkcję do wyrobu tylko 12 rodzajów naczyń, białych bez żadnych ozdób, a więc towaru, który powinien mieć szeroki zbyt wszędzie

Gdy z pieca garncarskiego wyszła pierwsza partia naczyń, Reese miał 19.800 dolarów długu i... 11 centów gotówki. W r. 1934, pierwszym roku pełnej produkcji obrót wynosił 331.000 dolarów, a w r. 1946 wzrósł do kwoty 3,500.000 dolarów. W roku ubiegłym Lou Reese przeznaczył na gwiazdkę dla swych 824 pracowników 705.000 dolarów i podwyższył im płace o 20 centów za każdą godzinę.

Oryginalny pomysł — to rzecz najważniejsza. A jeżeli ktoś prócz tego ma jeszcze dar niezrażania się trudnościami i wytrwałość w pracy, powodzenie jest prawie pewne.

("Future" — Oklahoma)

HUMOR

Lokaj — Francuz, zdecydowany wróg kapitalizmu, uczęszczał pilnie na wszystkie zebrania komunistyczne. Jego chlebodawca nie bardzo był z tego zadowolony, lecz nie oponował, bo lokaj był perłą w swoim zawodzie.

Nagle — lokaj zaprzestał chodzić na zebrania. Zapytany o powód, oświadczył swemu panu: „Na ostatnim zebraniu powiedział nam mówca, że jeżeli by cały majątek narodowy podzielić równo między obywateli, każdy otrzymałby 2.000 franków."

— „Więc cóż z tego?"

— „Jak to?" — rzekł lokaj — „Ja posiadam 5.000 franków".

CZY ZA MORZAMI JEST LEPIEJ?

Francis St. John, znawca brytyjskich problemów emigracyjnych, omawia w "Man of the World" warunki życia w dominiach.

Ludzie, którzy emigrują z Wielkiej Brytanii, różowo patrzą w przyszłość. Jadą do Australii, Kanady, czy innego dominium, jak do ziemi obiecanej.

Myślą, że klimat jest tam lepszy, życie lżejsze, zarobki większe, mieszkania bardziej wygodne, niż na tej wyspie.

Jak wygląda rzeczywistość?

Emigrant musi sobie przede wszystkim zapewnić przejazd. Koszt podróży do Południowej Afryki lub Kanady wynosi obecnie £ 40, do Australii i Nowej Zelandii około £ 65. Zdemobilizowani żołnierze mają pewne przywileje, bo za podróż do Australii płacą tylko £ 10 — ale z tych tanich przejazdów korzystać może tylko bardzo ograniczona liczba żołnierzy.

Czy klimat w dominiach jest lepszy? W Nowej Zelandii pogoda jest prawie taka sama jak w W. Brytanii, tyle tylko, że słońca trochę więcej, a chłodnych dni nieco mniej. W Australii — z wyjątkiem Tasmanii i okolic Melbourne — jest słonecznie i ciepło. Czasem nawet aż za ciepło, tak że człowiek mdleje z gorąca i dusi się w tumanach kurzu. W Australii południowej panują w zimie mrozy. Podobne warunki klimatyczne ma Południowa Afryka i Południowa Rodezja: w lecie upały, a w zimowe noce — mróz. Większa część Kanady ma klimat kontynentalny, przez kilka miesięcy ziemia pokryta jest śniegiem i lodem.

Czy emigrant może być pewny, że znajdzie pracę w dominiach? Obecnie tylko Australia zachęca Brytyjczyków do przyjazdu i pomaga im w zainstalowaniu się na nowym miejscu. Ale i tam poszukiwani są tylko rzemieślnicy i inżynierowie; dla ludzi wolnych zawodów i dla niewykwalifikowanych robotników nie ma tam na razie miejsca. Tak w Australii, jak i w innych dominiach realizowanie planów imigracyjnych napotyka na trudności z powodu braku mieszkań.

Czy zarobki w dominiach są większe? Teorytycznie — tak. Przeciętna płaca tygodniowa wynosi tam £ 7 — £ 8. Byłby to niezły zarobek, gdyby nie smutny fakt, że koszty utrzymania są wyższe niż w W. Brytanii. Żywność jest naogół tania, ale co z tego, że ananasa kupić można za szylinga, jeżeli odzież, obuwie, meble i różne drobiazgi codziennego użytku są bardzo drogie? Od tej reguły są oczywiście wyjątki. Tak n. p. w Kanadzie ceny ubrań i obuwia są umiarkowane, a w Południowej Afryce i w Południowej Rodezji żywność jest stosunkwo tania.

Sytuacja mieszkaniowa we wszystkich dominiach przedstwia się opłakanie, gorzej jeszcze, niż w W. Brytanii. Za dom, który w r. 1939 kosztował £ 5.000, płaci się teraz £ 2.000 do £ 5.000, o ile oczywiście znajdzie się takiego człowieka, który zechce dom sprzedać. O mieszkania ogromnie trudno, czynsze są bardzo wysokie.

To prawda, że domy w dominiach — zwłaszcza Bungalow'y, popularne w Australii i Nowej Zelandii — są bardzo piękne, i obszerne i wygodne. Instalacje elektryczne i gazowe, kanalizacja, oświetlenie ulic są w miastach pierwszorzędne, na wsi nieco gorsze.

Nie trzeba jednak zapominać o tym, że angielskie domy też słyną w całym świecie ze swej niezrównanej piękności, i że niejeden ich Anglikom zazdrości.

Nie ma dziś nigdzie kraju opływającego mlekiem i miodem. Życie w dominiach nie różni się zbytnio od życia na tych wyspach. Zanim ktoś zdecyduje się na wyjazd za morza, dobrze powinien się nad wszystkim zastanowić.

("Man of the World")

Memorandum

/dotyczące oficerów należących do P. K. P. R./

Poniżej zamieszczone wytyczne, ogłoszone 17 grudnia 1947 przez Brytyjskie Ministerstwo Wojny, wprowadzają normy które weszły w życie z dniem 15 stycznia br. Normy te mają być stosowane do oficerów, znajdujących się obecnie w P. K. P. R. oraz do tych, którzy w najbliższej przyszłości zostaną przyjęci do Korpusu.

Cel ogłoszenia tych przepisów jest następujący:

a) Zachęcenie oficerów do indywidualnego wysiłku,

b) Udzielenie pomocy tym, którzy chcą osiedlić się w Wielkiej Brytanii, a wyeliminowanie tych, którzy nie okazują dobrej woli,

c) Skrócenie kursu przygotowania zawodowego,

d) Ogólne zmniejszenie kosztów ponoszonych przez Skarb brytyjski.

Nie odnoszą się natomiast te przepisy do oficerów znajdujących się we Francji, którzy zdecydowali się na pozostanie w tym kraju.

1. Oficerowie, którzy pragną korzystać z poniżej podanych przywilejów muszą przed tym złożyć egzamin z języka angielskiego, to znaczy uzyskać „Cambridge Lower Certificate".

Oficer występujący z P. K. P. R.:

a) Podpisuje przedłożone mu dokumenty, dotyczące rozwiązania stosunku z P. K. P. R.

b) Otrzymuje odprawę)

c) Otrzymuje sumę równającą się 112 dniowej gaży według stawek obowiązujących w dniu podpisywania dokumentu (łącznie z dodatkiem rodzinnym o ile taki mu przysługuje) lecz bez równoważnika za strawne.

Na rękę otrzymuje oficer zaliczkę w wysokości 14 dniowych poborów, pozostała zaś suma za 98 dni zostanie wpłacona przez płatnika na konto danego oficera w Post Office Savings Bank.

Oficerowie emigrujący otrzymują na rękę wartość 28-dniowej gaży, a resztę w kraju, do którego wyjeżdżają.

d) Oficerowie zwalniający się otrzymują ubranie cywilne oraz kupony odzieżowe.

2. Przeniesienie na listę niezatrudnionych z wypłatą 112-dniowej gaży.

Oficerowie żonaci, których żony znajdują się we Wielkiej Brytanii, którzy zgadzają się na przeniesienie ich na listę niezatrudnionych podlegają następującym przepisom:

a) Otrzymują kwotę równającą się 112 dniowej gaży (patrz pkt. 1. b)

b) W żadnym wypadku nie mogą być powołani z powrotem do P. K. P. R.

Po 3 miesiącach pracy cywilnej mają prawo wniesienia podania o zwolnienie z P. K. P. R. i otrzymania odprawy za pośrednictwem Post Office Savings Bank.

d) Z chwilą przeniesienia na listę niezatrudnionych, oficer traci prawo do korzystania z kursów szkolenia zawodowego P. K. P. R.

e) Otrzymują ubranie cywilne i kupony odzieżowe.

3. **Urlopy próbne.**

Oficer ma prawo starać się o urlop na 56 dni, celem odbycia praktyki w zawodzie cywilnym. Jeżeli po tym okresie czasu nie otrzyma stałej pracy ma prawo powrotu do P. K. P. R. i ponownego starania się o taki sam urlop dla odbycia praktyki w innej firmie.

Warunki są następujące:

a) Otrzymując 56 dni urlopu dla odbycia praktyki, oficer otrzymywać będzie gażę według stawek przysługujących oficerom nadliczbowym z dodatkiem rodzinnym.

b) ma prawo do powrotu do swego oddziału w każdej chwili gdyby z jakichkolwiek powodów musiał opuścić próbne zajęcie.

c) W wypadku gdy oficer otrzymuje stałą pracę, nawet przed upływem okresu próbnego, może złożyć podanie do Szefa Biura Ewindencyjnego P. K. P. R. o przeniesienie go na listę niezatrudnionych. Po upływie trzech miesięcy płatnej pracy dany oficer może złożyć podanie o zwolnienie go z P.K.P.R. przy czym przysługuje mu odprawa zgodnie z pkt. 1 d.

d) Oficerom korzystającym z próbnego urlopu przysługuje prawo otrzymania ubrania cywilnego.

4. **Urlop na studia techniczne poza obrębem szkolenia zaw. w P. K. P. R.**

Dla utrzymania urlopu na studia techniczne, których koszt pokrywa oficer, musi on spełnić następujące warunki:

a) Złożyć podanie dla otrzymania 180 dni urlopu płatnego według stawek oficerów nadliczbowych wraz z dodatkiem rodzinnym i równoważnikiem żywnościowym (strawne),

b) Po zakończeniu urlopu, w razie otrzymania zatrudnienia, oficer ma prawo prosić o przeniesienie na listę niezatrudnionych, a po 3 miesięcznym okresie płatnego zatrudnienia może wnieść podanie o zwolnienie z P. K. P. R. na normalnych warunkach.

5. **Kursy przygotowawcze w P. K. P. R.**

Warunkiem zasadniczym przyjęcia na kurs przygotowawczy w P. K. P. R. jest złożenie egzaminu ze znajomości języka angielskiego „Lower Cambridge Certificate."

Po zakończeniu kursu przysługuje oficerowi prawo wniesienia podania o przeniesienie na listę niezatrudnionych.

Będzie on mógł również ubiegać się o 56 dniowy urlop dla odbycia praktyki.

Do czasu ukończenia kursu przygotowawczego nie można wnosić podania o urlop na praktykę ani o rozwiązanie stosunku służbowego z P. K. P. R.

Warunki ogólne.

Od chwili wejścia w życie wytycznych tego memorandum oficerowi wykorzystującemu urlop według podanych norm nie przysługują żadne inne urlopy w ciągu danego roku urlopowego z wyjątkiem tzw. „urlopów weekendowych".

Celem zapobieżenia niesprawiedliwości w stosuku do tych, którzy pragnąc osiedlić się na terenie Zjednoczonego Królestwa nie mogli z powodu choroby, albo innych niezależnych od nich powodów złożyć egzaminu z języka angielskiego „Cambridge Lower Certificate" — żaden z oficerów nie zostanie zaliczony do kategorii pobierającej zmniejszone uposażenie bez dokładnego zbadania jego sprawy przez angielsko-polski Komitet tzw. „Command Board" specjalnie powołany w celu rozstrzygania tych spraw.

Komitety te będą traktować wyrozumiale następujące kategorie oficerów:

a) oficerów w wieku ponad 50 lat,

b) oficerów, którzy okazali się zupełnie niezdolni do pełnego opanowania języka angielskiego,

c) oficerów uczących się języka kraju, do którego chcą emigrować,

d) oficerów, oczekujących na emigrację i repatriację.

Możność korzystania z propozycji zawartych w powyższych wytycznych otwarta będzie dla wszystkich oficerów w przeciągu 90 dni od daty ich ogłoszenia; w stosunku do oficerów wstępujących do P. K. P. R. po dniu wejścia w życie tych wytycznych — w przeciągu 90 dni od wstąpienia do P. K. P. R.

Ograniczenia z ich korzystania są następujące:

a) by móc korzystać w pełni z możności zwolnienia się z P. K. P. R., przeniesienia na listę niezatrudnionych, otrzymania urlopu na studia — oficer musi mieć jeszcze przed sobą ponad rok służby w P. K. P. R.

b) W wypadku, gdy pozostający okres służby w P. K. P. R. jest krótszy niż 12 miesięcy, a dłuższy niż 6 miesięcy przy zwolnieniu z P. K. P. R. i przeniesieniu na listę niezatrudnionych oficer otrzymuje gażę za 56 dni.

c) W wypadku gdy pozostały okres służby w P. K. P. R. jest krótszy niż 6 miesięcy to przy zwolnieniu z P. K. P. R. przysługuje tyko odprawa, przy przeniesieniu na listę niezatrudnionych przysługują pobory za 56 dni, lecz okres ten nie powinien przekraczać pozostałego czasu służby oficera. Nie będzie również możliwe w tym przypadku otrzymanie urlopu na studia techniczne.

c) Podanie oficera, który wybrał jedną z możliwości, podanych w niniejszych wytycznych winno być zatwierdzone przez BAS właściwego Command, który stwierdzi na podaniu, że dany oficer został zakwalifikowany do korzystania z warunków wybranego przez siebie rozwiązania.

d) Żaden z okresów przysługujących na zasadzie tych wytycznych nie może przekraczać pozostałego czasokresu służby oficera w P. K. P. R.

e) Żadne z postanowień niniejszego Memorandum nie dotyczy oficerów, którzy zdecydowali się na emigrację przed datą jego ogłoszenia.

Postanowienia zawarte w Memorandum nie naruszają w niczym prawa polskich oficerów do 21 dniowej gaży zamiast urlopu przy przeniesieniu na listę niezatrudnionych lub przy ukończeniu dwuletniego kontraktu służby w P. K. P. R.. ani też prawa do 56 dniowej gaży zamiast urlopu przysługującego w wypadku repatriacji lub emigracji. Jednakże gaża 21 czy 56 dniowa nie może stanowić dodatku do świadczeń przewidzianych w Memorandum.

Postanowienia Memorandum wchodzą w życie z dniem 15 stycznia 1948 r. Dodatkowe informacje oraz instrukcje finansowe będą podane w terminie późniejszym. Do czasu otrzymania ich nie należy składać żadnych podań.

W GÓRACH FRANCJI

...Deszcz pada bez przerwy od trzech dni. Suszę się teraz w fermie. Z 2.300 m przełęczy Cayolle zjeżdżałem w skarpetach na rękach zamiast rękawiczek. Palce sztywniały z zimna na hamulcach. Asfalt miejscami spłókany zupełnie, droga nie naprawiona od czasu, gdy jechałem tędy w r. 1940. W kilku miejscach reperowali ją jeńcy niemieccy, doskonale pracując. Tu, w fermie, jest ich dwóch. „Patronka" mówi mi, że chcą wracać i że nie wie, co zrobi po ich zwolnieniu. Znowu cała Francja przemawiała przez nią.

Ale gdy przed Puget-Theniéres pękły mi szprychy, sklep mechanika w miasteczku był zamknięty (4-a po poł.) Odnalazłem go w domu i powiedziałem, że mi się śpieszy. Kazał zaczekać, bo „teraz pije kawę". Czekałem przeszło godzinę wstawiając sam przez ten czas brakujące szprychy. Po jego przyjściu odkupiłem tylko mój zapas, żeby znowu nie czekać gdzieś na innego, aż „wypije kawę". Był zadowolony, bo zarobił kilka franków na szprychach, nie będąc zmuszonym pracować. Są bogaci...

... Brakło i cukru i chleba. Choć sierpień miał się ku końcowi, w Departamencie Alp Morskich cukier jeszcze „nie wyszedł". W sklepach nie mieli go ani na sierpniowe kartki, ani bez kartek.

Dopiero w górach, w Embrun, dostałem funt bez kartek — po cenie normalnej. Utknąłem w sklepie osłupiały. Młoda właścicielka podparła się w boki: — „I cóż pan myśli, że będę takich jak pan obdzierać? Przecież widzę, że nie ma pan za wiele pieniędzy. Póki mam cukier, to go sprzedaję. A wie pan, co ja robię z ich ustawami???

Nie pytałem, wiedząc dobrze, co ona z nimi zrobi.

Podobno Napoleon tak długo podwyższał podatki, dokąd minister skarbu raportował mu, że podatnicy płaczą. Ale po jednej z kolejnych podwyżek oświadczył cesarzowi: „Oni się śmieją".

Francja jest na granicy śmiechu...

Za Briançon spałem przy fermie, której 70-letnia właścicielka była okazem tej starej kultury, spotykanej tylko tutaj. Poprosiłem o zagrzanie jedzenia. Staruszka „paysanne" z dziada pradziada, poprowadziła mnie z honorami... Wsiadła na męża, żeby mi dał patelnię... Oglądnęła starannie moje kotlety baranie i wyraziła uznanie.

Przy kolacji, gdy powiedziałem coś o „dobrym Bogu", podeszła do mnie, prawie przytknęła swą pomarszczoną twarz do mojej i zapytała:

— Niech no pan powie, czy widział pan Boga?

— Nie.

— Eh bien — huknęła na mnie conajmniej tak, jak na męża.

— A jak pani będzie umierać, to zawoła pani proboszcza? — zapytałem z kolei

— To jest zupełnie co innego — odparła i była naburmuszona przez dłuższy czas.

Śmiałem się wesoło i ona zaczęła się śmiać ze mną. W domu była bieda, nie byli bogaci. Mogliby lepiej gospodarować, ale nie mają ludzi, a oni już starzy. Młodzi uciekają do miast...

Nazajutrz żegnaliśmy się czule. Dała mi dużo chleba i dzięki niej mogłem pójść w góry...

Droga na przełęcz Lauteret podchodziła łagodnie, znikała w galeriach. Po lewej stronie coraz więcej białych łat lodowców. Świeciła potężna Meije i różowiła się o zachodzie.

Na przełęczy rozmawiałem z Niemcami. Narzekali, że Francuzi ich zwodzą. Obiecali zwolnić już w lipcu i dotąd nic. Wiedzą dlaczego: bez nich byłoby trudno. Wszyscy mówili z pewnością siebie ludzi niezbędnych, równych, a nawet wyższych. „Francuzi są leniwi — im się nie chce pracować". I tu oni naprawiali szosę, zwalającą się wściekłymi serpentynami do La Grave.

...Zmęczenie ulatywało w drzemkach na śliskiej trawce, gubiło się w bezkresnych przestrzeniach dolin i hal pod stopami.

Wracały wspomnienia i obrazy, strzępy rozmów. Jakaś prawda kryła się tu na pewno w sumie kontrastów, których ilość wzrasta niebezpiecznie we Francji, z roku na rok. Ale jak we wszystkim, tak i w tym istnieje pewne optimum. Francja staje coraz to na granicy jakiegoś nowego optimum. Nie powinna tych granic przekroczyć, jeżeli chce zostać sobą — i to dla dobra wszystkich. Czuje to ona napewno i naród to rozumie. We Francji zaczyna być zbyt wiele kontrastów, zupełnie nie francuskich.

Po zejściu z gór przeczytałem, że od 1 września obowiązywała już zmniejszona racja chleba, 200 gramów dziennie. Przeczytałem także, że żona profesora Politechniki francuskiej kradła samochody, a w Biarritz złapano bandę 13-letnich chłopców, okradających puste wille i sklepy.

Jakieś niedozwolone granice zostały już przekroczone. Było mi żal.

Nie miałem już chleba, lecz chłop, u którego zostawiłem rower z częścią bagażu poratował mnie.

— Wszystkiego byłoby dosyć, gdyby pieniądz był pewny, tak jak dawniej. Monsieur, podobno już nawet dolary są fałszywe — stękał.

Zjeżdżałem szybko ku Grenoble, głodnawy i bezradny. Pociągi odchodziły do Paryża jeszcze ciągle przepełnione wracającymi z wakacyj. Czekałem cały dzień na bilet.

Kontrasty — za wiele obcych kontrastów.

(Z artykułu A. Bobkowskiego „Na drogach Francji" w „Nowinach Literackich")

TRZECI ROK PRACY i STARANNEJ OBSŁUGI KLIENTÓW

W pierwszych dniach grudnia 1945 rozpoczęła swą działalność Firma EXPORT & RELIEF COMPANY, która pierwsza uruchomiła masową wysyłkę paczek z Anglii do indywidualnych odbiorców w Polsce.

W ciągu pierwszego roku swego istnienia wspomniana firma wysyłała wyłącznie paczki z lekarstwami. Od roku jednak posiada obok Działu Farmaceutycznego, również Dział Handlowy wysyłający do Polski skóry, obuwie, wełniane materiały i wiele innych towarów których w Polsce nadal brak lub których ceny są w Kraju tak wysokie, że otrzymanie ich z Anglii stanowi istotną pomoc dla odbiorcy.

Obecnie po upływie z górą dwuch lat pracy personelu i kierownictwa Firmy, stanowiących harmonijnie współdziałający zespół 14-tu Polaków, można stwierdzić, że Firma Export & Relief Company nie zawodzi zaufania swych licznych klientów. Dotychczas Firma wysłała przeszło 43.000 paczek na zlecenie około 30.000 osób prywatnych i 3876 większych przesyłek na zlecenie różnych organizacyj społecznych i charytatywnych polskich, brytyjskich i polsko-bryjskich, wspomagających w ten sposób polskie sierocińce, szkoły, przytułki i t. p.

Z wyżej wspomnianej dużej ilości przesyłek zaginęło w drodze 397 a uległo uszkodzeniu i okradzeniu około 800. Poszkodowani klienci otrzymali premie asekuracyjne na łączną kwotę £ 1657. Firma asekuruje bowiem każdę przesyłkę i dokłada starań by klient nie został poszkodowany.

U podstaw działalności kierownictwa Firmy i personelu leży przeświadczenie, że nie szczędząc trudu na należyte wywiązanie się zobowiązań przyjętych w stosunku do klientów — oddaje się przysługę Polakom zarówno w kraju jak i na obczyźnie. Dziś po przeszło dwuch latach sumiennej i rzetelnej obsługi licznej klienteli stworzona została atmosfera wzajemnego zaufania pomiędzy klientami a Firmą. Ktokolwiek zamawia wysyłkę paczki w Firmie Export & Relief Company wie, że jest traktowany poważnie, sumiennie, oraz życzliwie, że otrzyma dobrą i kompetentną radę i nie poniesie straty w wypadku zagubienia przesyłki przez pocztę.

Przeglądając prospekty Firmy Export & Relief Company oraz objaśnienia o organizacji wysyłki uderza rzeczowość informacyj. Nie ma żadnych ponętnych obietnic i przechwałek obliczonych na wabienie naiwnego czytelnika. To jest najlepszym dowodem, że atmosfera zaufania otaczająca tą Firmę zbudowana została istotnie rzetelnym podejściem do tak trudnej i delikatnej pracy jaką jest wysyłanie paczek do Polski. Na zakończenie wypada dodać, że kierownikiem Firmy jest Krzysztof Eydziatowicz, dobrze znany z przedwojennych czasów prelegent radia w Warszawie. **M. G.**

LONDYN W 2047 ROKU

Pewnego dnia w r. 1947 wynaleziona niedawno maszyna czasu przenosi Johna Monktona, zdemobilizowanego żołnierza, — w rok 2047. Przygody jego w ustroju, zbudowanym na zasadach planowej gospodarki i materializmu, kreśli Maeburn Staniland w satyrycznej powieści p. t. "Back to the Future", z której podajemy kilka wyjątków:

powoli do olbrzymiej sali jadalnej, ale jego końca nie było widać. Wędrując wzdłuż ogonka, by znaleźć ten koniec, doszedłem do biura, w którym wręczano kupony na śniadanie. Okazało się, że koniec ogonka po śniadanie był początkiem ogonka po kupony śniadaniowe...

Po jezdni Oxford Street pędziły cicho, jak zjawy, kierowane automatycznie auta i autobusy. Z głośników, wmontowanych na rogach ulic, lały się fale banalnej muzyki i potoki wiecowego krasomóstwa. Twarze przechodniów, były szare, jak ich ubrania, sklepów nigdzie nie było widać. Krzyczące barwy afiszów kinowych i propagandowych plakatów kontrastowały nieznośnie z szarzyzną tłumów i budynków.

Poczułem głód, tak dawno przecież nic nie miałem w ustach. Sięgnąłem ręką do kieszeni, by upewnić się, czy mam pieniądze. W kieszeni spodni znalazłem parę szylingów, a w portfelu cztery funty — chyba wystarczy.

Gdym się zaczął rozglądać za jakąś restauracją, stwierdziłem ze zdumieniem, że nigdzie nie było restauracji, jadłodajni, barów, czy kawiarń. Rozglądając się na wszystkie strony, zawędrowałem aż do Marble Arch. Tu zapytałem wreszcie pierwszego z brzegu przechodnia, gdzie można by dostać coś do zjedzenia. Wskazał na duży budynek, przed którym wił się — jak boa dusiciel— potężny ogon ludzi, posuwających się w kolejce. Podążyłem tam coprędzej, by dołączyć do tej procesji. Okazało się, że nie taka to łatwa sprawa, jak się mogło zdawać. Wprawdzie czoło ogonka wchodziło już

Chciałem stanąć w ogonku kuponowym, stwierdziłem jednak po chwili, że ten ogonek też nie miał końca, bo ciągnął się nieprzerwanie z magazynu obuwia. W magazynie sznur ludzi przesuwał się powoli wzdłuż długich lad. Każdy pokazywał tu urzędnikom swe buciki. Po dokonaniu dokładnej inspekcji urzędnicy albo znaczyli podeszwy kredą i odrzucali buciki na dłuższy stos, albo, uśmiechając się ironicznie, wręczali obuwie z powrotem. Ci, którzy byli mniej szczęśliwi, stawali znów w ogonku i sennie, bez pośpiechu posuwali się ku wyjściu — po kupony śniadaniowe.

Powędrowałem wzdłuż tego ogonka bucikowego — w tył — i stwierdziłem, że ogon ten wysuwał się z Galerii Sztuki. W galerii

było mnóstwo dziwacznych obrazów i rzeźb, ale nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, każdy przechodził tędy tylko dlatego, że taka była ogonkowa marszruta.

Koniec „ogonka sztuki" był początkiem ogonka po kombinezony robocze. Całe to olbrzymie mrowie ludzkie, przesuwające się jak na defiladzie przed urzędnikami, przeprowadzającymi inspekcję odzienia, ubrane było wyłącznie w kombinezony. Inspekcja była bardzo szczegółowa. Urzędnicy bez ceremonii oglądali, macali, mięli w ręku odzienie defilujących przed nimi ludzi, pozwalając sobie przy tym na różne żarty.

Tłum wszystko znosił cierpliwie; widocznie do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Koniec ogonka kombinezonowego — jak wkrótce stwierdziłem — wyłaniał się z... sali śniadań.

A więc znalazłem się znów w tym samym miejscu, z którego rozpocząłem wędrówkę. Ogonek nie miał początku ni końca, było to zaczarowane koło, w którym ludzie kręcili się cały dzień, otrzymując posiłki, odzież i rozrywki.

Zacząłem krążyć tu i tam, starając się gdzieś wcisnąć, by wreszcie dostać coś do jedzenia, bo bardzo już byłem głodny. Wszedłem zpowrotem do hali obuwia, wkręciłem się między ludzi, próbujących nowe buciki, a potem wraz z nimi stanąłem w kolejce. Niestety — nie udała mi się sztuka. W pewnej chwili poczułem, że kilka par rąk chwyta mnie za ramiona i że lecę w przestrzeń. Znalazłem się na chodniku. Padając stłukłem sobie ramię, ale nie miałem czasu roztkliwiać się nad sobą, bo zewsząd leciał grad drwin i wyzwisk. Gdym się podniósł, ujrzałem przed sobą wysokiego chłopa w mundurze. Na czapce miał napis: „Strażnik ogonka Nr. 31".

— Co się tu dzieje?! — krzyknął na mnie.

— Chcę jeść.

— Musi pan stanąć w ogonku.

— Właśnie miałem zamiar to zrobić.

— Jaki numer?

— Nie mam numeru.

— Hm... Ta pani ma numer 586, ten pan ma 587. Pan był pomiędzy nimi, co? Jakżeż to tak?

— Może. Ale niech mnie pan poinformuje, w jaki sposób mogę dostać coś do zjedzenia. Głodny jestem.

— Stanąć w ogonku, jak wszyscy.

— W jaki sposób mogę się dostać do ogonka?

— Dziś — w żaden sposób. Ogonek na dzisiaj już zamknięty.

— Czy jutro będę mógł dostać obiad lub śniadanie?

— Musi pan stanąć w ogonku.

— Wiem już, wiem — już mi pan to mówił. Ja się pytam, jak dołączyć do ogonka, jak się do niego dostać?

— Co do jutrzejszego ogonka?

— Tak.

— Musi pan stanąć w ogonku.

— Dobrze, już to słyszałem. Mnie chodzi o to, w jaki sposób można dostać się do jutrzejszego ogonka?

— Przecie mówię panu wyraźnie: jeżeli chce się pan dostać do jutrzejszego ogonka, musi pan stanąć w ogonku.

— Co?! Trzeba stawać w ogonku do ogonka?

— No! Nareszcie pan pojął! — rzekł strażnik i uśmiechnął się z zadowoleniem, jak cierpliwy nauczyciel, który wydobył wreszcie trafną odpowiedź od ucznia, nie grzeszącego zbytnio rozumem.

— A kiedy zaczynają stawać w ogonku do jutrzejszego ogonka?

— Już zaczęli — odparł i wskazał na widniejące w pobliżu czoło olbrzymiego ogona, ciągnącego się w dal, ku północnym przedmieściom Londynu i ginącego we mgle.

* * *

Doszedłem do przekonania, że w tym dziwacznym Londynie kroku nie będę mógł zrobić bez dokumentów.

Poszedłem po kartę identyczności do biura w Holborn. Pusto było w tym biurze Za stołem siedziała starsza pani i — pogrążona w myślach — piła herbatę. Chrząknąłem, by zwrócić na siebie uwagę. Pani podniosła wzrok z nad filiżanki.

Urzędniczka odstawiła filiżankę na piecyk elektryczny i przybrawszy urzędową minę, spojrzała na mnie z uwagą.

— Czy mogę prosić o dowód osobisty?

— A co pan zrobił ze swoją starą kartą?

— Nie miałem wcale karty.

— Wcale pan nie miał, powiada pan?

— Nie.

— Dziwni są czasem niektórzy ludzie — mruknęła starsza pani bardzo dziwni.. Trudno ich zrozumieć... Karty identyczności nie mają... Jakże to może być... No, dobrze, — rzekła już głośno — proszę pokazać książeczkę żywnościową.

— Nie mam książeczki żywnościowej.

— Bez książeczki żywnościowej nie mogę wydać karty identyczności.

— Gdzie się wydaje te książeczki?

— Urząd żywnościowy. Gower Street. Prosto, a potem na lewo.

* * *

W urzędzie żywnościowym było pełno ludzi. Stanąłem w ogonku i po dwuch godzinach dotarłem przed oblicze urzędnika.

— Proszę o książeczkę żywnościową.

— Pan zgłasza zgubę książeczki?

— Nie. Nie miałem wogóle żadnej książeczki.

— To cóż pan w takim razie je, jak pan wogóle istnieje? — rzekł urzędnik. i zwracając się do kolegów w głębi biura, krzyknął: „Hej, słuchajcie, przyszedł tu gość, który nigdy nie miał książeczki

żywnościowej. Ale wygląda nieźle. Ciekawe. Ciekawe, jak się on urządza..

— Przestań pan błaznować! — przerwałem mu ze złością.

— Cisza zaległa biuro. Twarze urzędników jakby zastygły. Interesanci milczeli jak trusie. Niemowlę, spoczywające w ramionach matki, zaśmiało się nagle i zaklaskało w rączki. Urzędnik, który mnie załatwiał, miał taką minę, jakby chciał złapać muchę, a złapał... osę. Patrzyłem mu śmiało w oczy. Wygrałem. Urzędnik chrząknął, i — jakby się nic nie stało — zapytał mnie, czy mam kartę identyczności.

— Przed chwilą byłem właśnie w Holborn po tę kartę, ale...

— Jeżeli nie zobaczę pańskiej karty identyczności, nie będę mógł panu wydać książeczki żywnościowej.

— A w Holborn powiedziała mi pani urzędniczka, że nie wyda mi karty identyczności, jeżeli jej nie pokażę książeczki żywnościowej. Dlatego właśnie pozwalam sobie pana fatygować.

— Cóż? Nic panu niestety pomóc nie mogę. Zdaje się że ona raczej niewłaściwie ujęła tę sprawę. Musi pan iść tam drugi raz.

W tej chwili strzeliła mi nagle pewna myśl do głowy.

—A czy nie wystarczyłaby panu moja stara karta identyczności. Jest na niej wprawdzie inne nazwisko, ale to dlatego, że ja później... wie pan, musiałem nazwisko zmienić...

— Proszę pokazać.

Wręczyłem mu kartę, wystawioną przed stu laty. Oglądnął ją ze wszystkich stron, mrugnął do mnie porozumiewawczo, nachylił się ku mnie i rzekł cicho:

— Aha, więc to tak... Strasznie mi przykro, że nic tutaj panu pomóc nie mogę, ale niech pan idzie na Chiffley Street pod numer 32. To nie daleko, na prawo, potem druga przecznica na lewo. Zapyta się pan tam o pana Samuela Isaaka. On panu wszystko załatwi. Życzę powodzenia.

Jak z powyższego widać — czasem nawet i urzędnik może być wcale przyzwoitym człowiekiem.

Do pana Isaaka trafiłem bez trudu. Po chwili rozmowy okazało się, że jest on bardziej obrotny, niż wszyscy urzędnicy razem wzięci: w ciągu kilku minut dostałem od niego kartę identyczności, książeczkę żywnościową, kartę ubezpieczeniową, kupony odzieżowe, kwitki mieszkaniowe, książeczkę biletów do kina, kartę wstępu na wyścigi psów i legitymację Wydziału Kultury, uprawniającą do wstępu na każdy koncert i odczyt w całej Anglii oraz do zwiedzenia wszystkich galerii sztuki. Pozatem wręczył mi ten miły człowiek cały plik druków, pouczających, jak się zachowywać w razie zarażenia się chorobą weneryczną i udzielających rad w najbardziej intymnych sytuacjach życiowych.

Za to wszystko zażądał ode mnie pan Isaak £ 2. Dałem mu dwa banknoty funtowe z r. 1947, które miałem przy sobie. P. Isaak

był wielce zadowolony, odprowadził mnie do drzwi, i kłaniając się bardzo uprzejmie pożegnał mnie słowami dawno niesłyszanymi: „Do widzenia sir“

Nieco później dowiedziałem się, że funtowy banknot z r. 1947 wart był w r. 2047 dziesięć funtów, osiemnaście szylingów i cztery pensy. Rzecz miała się podobnie, jak to jest dziś ze złotymi suwerenami.

Nic dziwnego, że pan Isaak był zadowolony.

Ja też byłem zadowolony. Warto mu było zapłacić. W tym celowo, planowo i naukowo zorganizowanym społeczeństwie mogłem umrzeć z chłodu głodu i nudy, gdyby nie było uprzejmych panów Isaaków i „black market'u“.

W gruncie rzeczy niewiele się przez sto lat pod tym względem zmieniło.

(Maeburn Staniland "Back to the Future")

HUMOR AMERYKAŃSKI

Mały Piotruś był trochę nienormalny. Lekarz doradził rodzicom, by mu we wszystkim ustępowali.

— Co byś teraz zjadł? — pyta go ojciec.

— Dziecko pomyślało chwilkę i powiada: — „Chcę robaka“. Ojciec poszedł do ogrodu, znalazł robaka i przyniósł Piotrusiowi.

— Nie chcę surowego. Zgotuj mi to.

Poszedł ojciec z robakiem do kuchni i ugotował go

Dziecko spojrzało na robaka z ukosa. — „Naprzód ty, tatusiu, zjedz połowę, a potem ja zjem swoją połówkę.

Biedaczysko ojciec zebrał się na odwagę i połknął pół robaka.

Piotruś wrzasnął w niebogłosy: — „Zjadłeś moją połówkę. Ja się tak nie bawię. Nie chcę robaka!“

* * *

Na przedmieściu N. Jorku w czasie zawiei śnieżnej rozległy się nagle okrzyki: Hitler! Hitler! Hitler! Tłum przechodniów popędził w stronę skąd rozlegał się głos.

Stał tam stary handlarz owoców przy swoim wózku.

— Czemu pan krzyczy: „Hitler“? — pyta go policjant.

— A jakbym krzyczał: „Jabłka, jabłka!“, kto by do mnie przyszedł w taką cholerną pogodę?

* * *

W przedziale nocnego pociągu nikt nie mógł zmrużyć oka: po korytarzu chodził bez ustanku tam i z powrotem stary Szkot i grał na kobzie.

Koncert trwał może godzinę, gdy jeden z pasażerów stracił wreszcie cierpliwość, otworzył drzwi i krzyknął: „Czy nie mógłby pan robić mniej hałasu?“

Szkot rzekł: „Przepraszam“ — i... zdjął buty.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD

Podajemy kilka fragmentów z książki "My Chinese Wife". Autor — Karl Eskelund, Duńczyk, ożeniony z Chinką, był korespondentem wojennym w czasie wojny chińsko-japońskiej i drugiej wojny światowej.

CHIŃCZYCY I AMERYKANIE

Uniwersytet Yenching położony był w parku, poprzecinanym siecią wąskich kanałów, nad którymi przerzucono mnóstwo zgrabnych mostków. Studenci chińscy — tak mężczyźni jak i kobiety — zapatrywali się na życie poważnie. Prowadzili dyskusje na temat komunizmu, teorii Einsteina i różnych problemów społecznych i filozoficznych. Naukę traktowali bardzo serio. Po wykładach, zamiast grać w karty, flirtować, czy grać w piłkę nożną, chodzili na wiece, lub do klubów dyskusyjnych. Biblioteka uniwersytecka i laboratoria stale bywały przepełnione.

Po pewnym czasie przekonałem się, że nawet i w tej atmosferze kwitnie flirt — bardzo jednak dyskretny. Chińskie studentki, piękne jak posążki w swych skromnych sukienkach, używały kosmetyków skąpo i umiejętnie Na widok mężczyzny ani nie chichotały niemądrze, ani nie udawały gwiazd filmowych jak ich europejskie i amerykańskie koleżanki. Lekki uśmiech i ciepłe spojrzenie — to wszystko.

* * *

Na uniwersytecie Columbia zarabiałem na życie pisaniem prac egzaminacyjnych dla zamożnych, a leniwych studentów. Płacili mi od dziesięciu do trzydziestu dolarów. Nieraz moja własna praca dostawała gorszą notę niż te, które fabrykowałem dla kolegów, bo tylu miałem klientów, że mi czasu nie starczyło dla siebie.

Studenci chińscy, których poznałem w Yenching, dążyli do zdobycia wiedzy — tu, w Ameryce główny nacisk kładziono na sport. O postępy w studiach nikt się zbytnio nie troszczył, tu inne rzeczy były ważne: czy ktoś dobrze gra w piłkę i jak daleko ciska oszczepem.

Studentkom bardziej się podobały tęgie bicepsy, niż intelekt. Większość koleżanek ignorowała mnie kompletnie, bo chudy byłem, jak szczapa, ale pewnego wieczoru znalazła się amatorka i na mnie. Tęga blondynka o obfitych kształtach zaciągnęła mnie do Domu Studentek.

— Patrzcie, co ja sobie znalazłam — zawołała do koleżanek, gdyśmy się znaleźli w salonie, pełnym gruchających parek. Posadziła mnie na fotelu i siadła mi na kolanach. Dokoła nas parki obcałowywały się i ściskały, nie dbając o sąsiadów.

— Czy tu u was taka moda, że się romansuje publicznie?

— Nie bądź idiotą — rzekła blondyna — co to komu szkodzi, że się ludzie całują?

Amerykanie uważają to widocznie za rodzaj koedukacyjnej zaprawy sportowej, którą — tak jak inne gałęzie sportu — uprawia się publicznie...

* * *

W SOWIETACH NIE MA RÓŻNIC KLASOWYCH

Jechałem przez Syberię w klasie trzeciej, t. zw. „twardej". Twardo mi też było istotnie, ale przynajmniej tanio. Cała podróż kosztowała sto dolarów.

Zaledwie ułożyłem się do snu w swym pustym przedziale, rozległ się jakiś ryk. Miałem wrażenie, że w sąsiednim przedziale ktoś dostał napadu szału — po chwili jednak zorientowałem się, że ryki te roziegają się z głośnika, umieszczonego w moim przedziale nad drzwiami. W takiej wrzawie trudno było usnąć, wyjąłem więc z walizy stary sweter i wepchnąłem w gardziel głośnika. Ucichło.

Za chwilę otworzyły się drzwi. Stanął w nich żołnierz. Rozglądnął się po przedziale, ujrzał sweter w głośniku, szybko go wyciągnął i spozierając na mnie jak na zbrodniarza, począł coś wykrzykiwać po rosyjsku. Nie wiedziałem czego chce ode mnie, więc na wszelki wypadek wręczyłem mu paszport. Zobaczywszy wizę sowiecką, nieco się uspokoił, lecz — wychodząc — gestami dał mi do zrozumienia, by nie manipulować koło głośnika, bo źle ze mną będzie.

W rezultacie musiałem słuchać wszystkich przemówień które głośnik wywrzaskiwał, choć nie rozumiałem ani słowa. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. W ciągu dwutygodniowej podróży tak się zżyłem z głośnikiem, że gdy wysiadłem wreszcie z pociągu — czegoś jakby mi brakowało.

Gdy w pierwszym dniu podróży poszedłem do klozetu, nie mogłem się tam dostać, bo pod drzwiami stał ogonek, sformowany z kilkunastu pasażerów. Powędrowałem szukać szczęścia w klozecie drugiej klasy. Nie był zajęty. Wszedłem. Ale nie zdążyłem jeszcze drzwi zamknąć za sobą, gdy do klozetu wpadł rozwścieczony konduktor, schwycił mnie za bary i przetransportował do wagonu trzeciej klasy.

Przez cały czas podróży albo czytałem książki, albo wystawałem w ogonku klozetowym trzeciej klasy.

I powiadają że w Sowietach nie ma różnic klasowych!...

* * *

RUMUŃSKI CELNIK

Zaledwie minęliśmy rumuńską granicę, do przedziału wszedł urzędnik celny.

— Kto ma waluty zagraniczne do zadeklarowania? — zapytał łamaną angielszczyzną.

Pokazałem mu kilka dolarów, które miałem w portfelu. Zapisał tę kwotę w moim paszporcie.

— Oficjalny kurs wymienny wynosi sto pięćdziesiąt lei za dolara. Waluty zagraniczne wolno wymieniać tylko w banku państwowym. Surowo zabrania się sprzedawać je gdziekolwiek indziej — oświadczył urzędowym tonem. A potem zrzucił maskę i zapytał uprzejmym tonem:

— A może ma pan parę dolarów na sprzedaż? Dam panu dwieście lei za dolara.

— Wolałbym wymienić pieniądze w Bukareszcie.

— Dobra, dam panu dwieście pięćdziesiąt — rzekł wyciągagając równocześnie paczkę rumuńskich banknotów.

— Przecząco potrząsnąłem głową.

— Trzysta.

— Nie.

— Czterysta — nalegał Rumun — więcej nie dostanie pan w Bukareszcie.

By się go pozbyć, sprzedałem mu dziesięć dolarów.

W pół godziny po przybyciu do hotelu zaofiarowano mi za dolary po 700 lei.

* * *

NIE LUBIĄ SŁUCHAĆ STRASZNYCH RZECZY

— „A wytrzyj porządnie nogi!" — To były pierwsze słowa mojej matki, gdym zjawił się w domu po czterech latach nieobecności. Jej pięknie urządzone mieszkanie było, jak zawsze, czyste wyfroterowane i wypolerowane. Jak za dziecinych lat ogarnął mnie lęk, by nie zostawić na jakimś meblu śladu brudnych palców.

Celem życia było dla matki utrzymywanie mieszkania w stanie nieskazitelnej czystości. Mieszkanie było tak idealnie czyste, że wprost nie można było w nim mieszkać.

Kocham Danię, ale nie chciałbym w Danii mieszkać, chociaż to moja ojczyzna. Wszystko tu takie porządne, spokojne, uregulowane — nie ma urozmaicenia, przygód, wrażeń. Wolę brudne uliczki miast Dalekiego Wschodu, niż schludne, szerokie ulice Kopenhagi. Dreszcz mnie przechodzi na myśl, że miałbym żyć jak moi rodacy: całe życie uregulowane jak zegarek, codzień to samo, monotonna praca i leniwy odpoczynek. Gdy Duńczyk zapragnie wrażeń — idzie do kina, by zobaczyć jak gwiazdy i gwiazdory kochają się i podróżują. To nie dla mnie. Ja nie chcę patrzeć jak inni to robią, sam chcę to robić.

W pełnej po brzegi sali Politiken wygłosiłem odczyt o wojnie w Chinach. Mówiłem o tym, co niedawno widziałem, o rannych żołnierzach, o uchodźcach ginących z głodu.

Czułem, że słuchacze nie bardzo mi wierzyli. Chiny były tak daleko od ich małej, spokojnej Danii, że słuchali mnie, jak się słucha bajki: owszem, ciekawe to wszystko, ale oczywiście to nie prawda.

Po odczycie matka ujęła w paru słowach reakcję słuchaczy: „Po cóż ty opowiadasz takie straszne rzeczy. Tego nie można słuchać".

Duńczycy chcą, by ich życie było takie, jak mieszkanie mojej matki: czyste i przyjemne. Gdy z szerokiego świata zawieją wichry, niosąc tumany kurzawy, Duńczycy... co prędzej zamykają drzwi i okna.

OSTATNIA MIŁOŚĆ BYRONA

A. K. Grey w wydanej ostatnio książce "Byron's Last Mistress" kreśli sylwetkę Byrona i hrabiny Teresy, ostatniej jego miłości. Wielki poeta romantyczny nie bardzo był romantyczny w miłości i w życiu codziennym:

Hr. Teresa Gambo Ghiselli, była córką zbiedniałego ziemianina z okolic Ravenny. Urodziła się w r. 1802, a w r. 1818 rodzice wydali ją zamąż za bardzo bogatego właściciela dóbr, hr. Aleksandra Brunello Giuccioli. W dniu ślubu miała lat szesnaście, a pan młody — ponad sześćdziesiąt. Krążyły o nim pogłoski, że swoją pierwszą żonę otruł, a kochanka drugiej żony zamordował.

Swojej trzeciej żonie, Teresie, obiecał piękne stroje, pałac i willę. Przyrzekał jej również, że po wtajemniczeniu jej w obowiązki małżeńskie pozwoli jej wybrać sobie przyjaciela, „Cicisbeo".

W dziewiątym miesiącu małżeństwa wybrała się hr. Teresa wraz z mężem na przyjęcie w Palazzo Benzoni w Wenecji. Tam spotkała Byrona.

Byron miał nos Apollina Belwederskiego, usta stworzone do całowania i do szyderczego uśmiechu, oraz kulał nieco.

O Teresie tak później pisał Byron do swej siostry przyrodniej, Augusty Leigh:

„Teresa jest prześliczna, nie posiada jednak taktu. Ze starszymi damami wszczyna rozmowy na temat — ile kto ma lat. Pewnego wieczoru w dystyngowanym towarzystwie zawołała do mnie na cały głos: „Mio Bairon" i wyciągnęła do mnie ramiona. Żąda ode mnie, bym na stałe pozostawał we Włoszech. Co mam robić? Kocham ją — a znudziły mi się już przygodne miłostki".

Byron jeździł za Teresą z miasta do miasta z całą karawaną mebli, pościeli, brylantów, małp i służby w papieskiej liberii. Podróżowała też z nim nieprawa jego córeczka, Allegra, dziecko pełne uroku i żywe jak iskra.

Gdy Byron jechał do Grecji, Teresa dała mu lok swych włosów jako talizman. Byron wrzucił go do szuflady pomiędzy listy innych kobiet i brudne chusteczki do nosa - i nawet szuflady nie zamknął.

Śmierć Byrona odczuła Teresa bardzo boleśnie. Żałoba trwała jednak krótko. Następcą Byrona został lord Holland. Lord ten na wiadomość o wybuchu Wezuwiusza porzucił Teresę i uciekł.

Potem zjawił się u boku Teresy lord Fitzharris, a po nim Leon Bruys d'Ouilly, gadatliwy, zadowolony z życia Francuz, który wziął ją w „podróż poślubną bez ślubu" po starych gospodach i zajazdach Francji.

W 46-tym roku życia rozwiodła się Teresa ze swym zgrzybiałym mężem i poślubiła multimilionera, markiza Hilarego du Boissy. Przedstawiając swą żonę królowi Ludwikowi Filipowi, rzekł markiz: „Sire, czy mogę przedstawić Waszej Wysokości markizę du Boissy, moją żonę, byłą metresę lorda Byrona?".

Ze swym drugim mężem żyła Teresa szczęśliwie prawie dwadzieścia lat.

Mąż ją ubóstwiał, kupił jej zamek madame Dubarry i willę w Luciennes. W ostatnich latach życia odkryła w sobie Teresa zamiłowanie do ogrodnictwa. Hodowała truskawki wielkości pomidorów.

Umarła nieromantycznie — bogata i szczęśliwa.

W BRYTYJSKICH LABORATORIACH

W laboratoriach uczonych brytyjskich przeprowadza się doświadczenia, które w przeciągu dwóch lat doprowadzić mogą do przezwyciężenia kryzysu żywnościowego i do poważnego zwiększenia produkcji.

Na Stacji Doświadczalnej w Rothamsted dr. Norman Pirie pracuje nad wyprodukowaniem proteiny, tego podstawowego pożywienia ludzi i zwierząt, — z trawy i liści. Trawa zawiera bardzo wiele protein. które normalnie spożywamy — pijąc mleko. Krowa, przetwarzając trawę na proteinę dwie trzecie jej spożywa sama, a nam — w mleku — zostawia tylko jedną trzecią. Przez odpowiednią przeróbkę trawy możemy uzyskać nie jedną trzecią, ale całą ilość proteiny, w niej zawartej.

Pomysł nie jest bynajmniej śmieszny, czy fantastyczny. W pracowniach naukowych przeprowadza się w tym kierunku poważne badania, a rząd brytyjski rozpatruje problem wykorzystania w tym celu wielkich obszarów łąk na terenie całej wyspy.

Dr. Norman Pirie twierdzi, że proces produkowania proteiny z trawy jest nieskomplikowany i tani. Funt proteiny z trawy kosztować będzie tylko 1 szylinga i kilka pensów. Funt proteiny z sera kosztuje 2/6, z mleka 5/5, a z mięsa — 8 szylingów.

Surowca nigdy nie zabraknie: z jednego akra łąki wyprodukować można tyle proteiny, że wystarczy jej na cały rok dla rodziny, złożonej z czterech osób.

W całej tej sprawie jest jednak jeden słaby punkt. Proteina z trawy nie jest niestety smaczna. Pod względem smaku nie wytrzymuje konkurencji z mięsem, rybami, czy serem. Dr. Roland Slade, b. kierownik wielkich laboratoriów Zakładów Przemysłu Chemicznego Imperium, twierdzi jednak, że skoro tylko sprawę tę wezmą w ręce poważni przemysłowcy, napewno znajdą sposoby,

aby z trawiastej proteiny wytworzyć produkt, nie tylko tani, ale i smaczny.

Drugim źródłem, z którego W. Brytania czerpać może pożywienie, są morza i oceany. Dotychczas dostarczały one tylko ryb, ale prócz ryb znajdują się tam jeszcze i inne nieprzebrane zasoby żywności w postaci wodorostów, małżów i — planktonu.

Plankton, olbrzymia masa mikroskopijnych organizmów zwierzęcych i roślinnych — to rezerwuar niezmiernie wartościowego łatwo strawnego pokarmu. Połów planktonu nie jest na razie rzeczą łatwą, ani ekonomiczną. Sieci, zapuszczone na głębokość 3 stóp, wyłowią z jednego akra morza zaledwie 10 funtów planktonu. W szkockich zatokach morskich przeprowadza się jednak próby tak zorganizowanego połowu, że przypływ wpędzać będzie w sieci tony z morza w ciągu jednego dnia 20 ton tej cennej żywności. Prof. E. C. Hardy, ekspert w tego rodzaju zagadnieniach, zapewnia, że o ile wykorzysta się wszystkie zatoki szkockie o dużym przypływie, tysiąc ludzi dostarczy w ciągu roku tyle planktonowej proteiny, ile wynosi całoroczne zapotrzebowanie W. Brytanii.

Uczeni brytyjscy pracują też nad innym, niezmiernie ważnym zagadnieniem z dziedziny produkcji żywności. W Walii, północnej Anglii i Szkocji leżały odłogiem przez długie lata setki tysięcy hektarów. Te wrzosowiska, bagna i porosłe paprocią pustkowia przemieniają się stopniowo, rok po roku w łąki i pola uprawne. Jest to zasługa uczonych, m. in. Jerzego Stepledona, który po dwudziestu latach żmudnych doświadczeń wypracował najracjonalniejszą w brytyjskich warunkach metodę użyźniania nieużytków

W Brytanii nie umiano dotychczas wykorzystać w pełni wielu bogactw naturalnych, n. p. węgla. Technicy wypowiedzieli obecnie wojnę marnotrawstwu węgla w tradycyjnych brytyjskich kominkach. Przy systemie ogrzewania mieszkań przy pomocy kominków, dawno już zarzuconym na kontynencie i w Ameryce, lecz wciąż jeszcze istniejącym na tych wyspach, 75 proc. ciepła idzie w powietrze, bez żadnego pożytku. Przy planowaniu nowych miast i osiedli projektuje się już centralne ogrzewanie domów, które zmniejszą marnotrawstwo węgla z 75 proc. do 50 proc., albo też przewiduje się nawet centralne ogrzewanie całych dzielnic, zmniejszające te straty do 22 proc. Jeżeli uda się przełamać niechęć Brytyjczyków do pozbycia się kominków, można będzie zaoszczędzić olbrzymie ilości węgla.

Najracjonalniejszym rozwiązaniem kwestii paliwa będzie zużytkowanie energii atomowej. Sprawa ta weszła już w stadium realizacji.W Drigg (Lake District) buduje się pierwszą centralę energii atomowej, której aparatura będzie mogła wytwarzać 75.000 kilowatów prądu elektrycznego co pokryje zapotrzebowanie światła i siły dla prawie 1 miliona ludności. Gdy w Szkocji powstanie druga taka centrala, W. Brytania rozporządzać będzie ilością energii atomowej, wystarczającej na potrzeby prawie 25 proc. lud-

ności. Projektowane jest wznoszenie dalszych central, tak, aby w końcu każdy dom i każda fabryka włączone zostały w sieć systemu energii atomowej.

By wszystkie te plany wprowadzić w życie, potrzeba kapitałów, robocizny i czasu. Kapitały i robocizna się znajdą, czasu potrzeba stosunkowo nie wiele — zaledwie dwóch lat. Miejmy nadzieję, że w ciągu tego okresu można będzie pracować w spokoju.

(The People)

SZLAKIEM RYCERZY OKRĄGŁEGO STOŁU

Rycerze Okrągłego stołu, król Artur, św. Graal na górze Monsalvat, czarodziej Merlin, Perciyal — rycerz bez skazy... Gdy kiedyś czytaliśmy legendy o tych pół-mitycznych królach i bohaterach, któż mógł przypuszczać, że chodzić będziemy po tej samej ziemi, co oni, że nasze namioty stać będą na ich polach bitew, że polska artyleria rozłoży się obozem w miejscu, gdzie wiarołomna Guniwera rozszarpana została przez dzikie bestie, a dowództwo naszego korpusu zakwateruje się w Camelon, na którego polach król Artur poległ bohaterską śmiercią w walce z poganami.

Król Artur — jak pisze W. J. Hutcheson w edynburskim „Chamber's Journal" — żył, walczył i poległ w Strathclyde.

Najwcześniejsze zapiski o nim sięgają VIII wieku. Areną jego legendarnych wyczynów były ziemie po obu stronach rzymskiego wału, który siegał od Clyde do Forth koło Bo'ness.

Król Artur zginął w r. 537, w bitwie pod Camelon, o milę na zachód od Falkirk. Opodal niego legł, zabity królewską ręką, Medraut, jego siostrzeniec i zacięty wróg. Ów Medraut, pół-poganin, człowiek o przewrotnej duszy, uprowadził żonę Artura, nadobną Gunivere w lasy pod Alyth i — bez poważniejszych sprzeciwów z jej strony — zamieszkał z nią w Grodziszczu na szczycie Barry Hill. Grodziszcze to znajduje się o 18 mil na północny wschód od Perth. Zdradzony monarcha, oszalały z gniewu, ruszył w lasy pod Alyth i dostał w swe ręce niewierną żonę, lecz niecnemu uwodzicielowi udało się umknąć przed królewską zemstą.

Grób Gunivery znajdować się ma w Meigle, o pięć mil na północny wschód od Coupar Angus. Pamiątki wizyty królewskiej istnieją w tej wsi do dzisiejszego dnia. Jest tam „Słup Artura", mały dwór o nazwie „Kamień Artura" i farma „Zagroda Artura". Opodal, na Dunbarrow Hill, znajduje się „Siedziba Artura". Meigle, najstarsza wieś w Szkocji, to ciekawa miejscowość. Na dziedzińcu miejscowego kościoła wznosi się kopiec, który według lokalnej tradycji, sięgającej 14 wieków wstecz, wzniesiony został nad mogiłą Gunivery, rzuconej z rozkazu królewskiego na pastwę dzikim zwierzętom. Na jednym z kamieni nagrobnych widnieje postać kobiety, na którą ze wszystkich stron rzucają się wilki i inne bestie.

Medraut nie puścił królowi w niepamięć zamordowania Guniviery i swojej zniewagi. Na czele hordy pogańskich Piktów wyruszył spod Alyth na południe, w kierunku Camelon, obozu rzymskiego przy Wale Antonina.

Przez tysiąc dwieście lat, do połowy 18 wieku stała w Camelon nad rzeką duża budowla z ciosanego kamienia, zwana przez okolicznych mieszkańców „Domem Artura". Według miejscowych podań był to grób króla Artura. W r. 1743 ówczesny właściciel Camelonu, Michał Bruce, kazał rozebrać tę budowlę i z uzyskanego z rozbiórki materiału zbudować groblę. Groblę tę zniosła pierwsza powódź. Kamienie z „Domu Artura" uniesione zostały prądem w dół rzeki.

Zanim król Artur poległ w ostatniej bitwie, stoczył bitew dwanaście.

Do pierwszej doszło nad rzeką Glen, dopływem rzeki Irvine, około 15 mil na południe od Glasgow. W tysiąc czterysta lat później obozowali w tych stronach polscy saperzy. Niedaleko stamtąd, na południe od Rzymskiego Wału, koło Bearsden (znanego polskim oficerom w połowie 20 wieku jako siedziba kadry oficerskiej) znajdują się trzy pamiątki po królu Arturze: „Arthurlees".

Terenem czterech następnych bitew było Lennox, nad rzeką Douglas, w pobliżu Loch Lomond, o którym przed paru laty śpiewał Szkotom Chór Wojska Polskiego.

Szósta bitwa toczyła się koło Dunipace, nad rzeką Carron, o siedem mil na południe od Stirlinga.

Gdy mowa o Stirlingu, wspomnieć należy, że słynny Okrągły Stół rycerzy króla Artura znajdował się i znajduje do dzisiaj na zamku w Stirlingu. Nie jest to jednak stół drewniany, jak głosi legenda. Usypano ten „stół" z ziemi, na wysokiej skale nad rzeką Forth, u podnóża murów zamkowych. Dziś nosi on nazwę „Kępy Artura".

Terenem siódmej bitwy króla Artura był las Kaledoński w pobliżu źródeł rzeki Tweed, a ósmej — Stow nad rzeką Gala, mniej więcej siedem mil na północny wschód od Galashiels (miejscowości znanej pułkom I Polskiej Dywizji Pancernej).

Bitwa dziewiąta stoczona została „in urbe Legionis", nad rzeką Leven (w tych stronach przechodzili zaprawę bojową polscy spadochroniarze), dziewiąta — na wschód od zamku stirlingskiego.

Jedenastą stoczył król Artur w Dunedin, dzisiejszym Edynburgu. Na pamiątkę po nim została tu nazwa skalnej grani, królującej nad miastem „Arthur's Seet" (Widziały ją dziesiątki tysięcy Polaków, spędzających w Edynburgu „week-endy" i urlopy).

Przedostatnia dwunasta bitwa toczyła się nad rzeką Carron, koło Linlithgow (przebywali tam Polacy z kolumny sanitarnej).

Tak wygląda plan terenowy bojowych wyczynów Artura. Boje te toczył on, jako król chrześcijańskiego szczepu Cymrów, z hor-

dami pogan: Sasów, którzy zapuszczali zagony od wschodu, i Piktów oraz Szkotów, którzy niepokoili jego królestwo od północy.

Po klęsce pod Camelon rycerze króla Artura poszli na południe, do swoich cymryjskich współplemieńców. Ponieśli z sobą skarb podań o bohaterskim królu. Legenda, przekazywana ustnie z pokolenia w pokolenie, rosła, nabierała coraz piękniejszych barw, aż wreszcie w 12 wieku skrystalizowała się w znanej nam dzisiaj postaci. W tym czasie wszystkie opowieści krążące na wyswyspach brytyjskich o królu Arturze, spisało dwóch ludzi: mnich Geoffrey z Monmouth i ksiądz Layamon z Areley Regis.

W kilkadziesiąt lat później legenda o królu Arturze wzbogacona została podaniem o św. Graalu. Autorem tej pięknej opowieści jest prawdopodobnie Walter Map, doradca i przyjaciel Henryka II.

Może kiedyś na tej ziemi, na której król Artur walczył w obronie chrześcijaństwa, zrodzą się też legendy o żołnierzach, którzy z Polski przybyli do Szkocji, by ruszyć do boju o „wolność naszą i waszą".

Może się zrodzą, ale chyba — jak Arturowe legendy — w kilkaset lat po ostatniej bitwie. A polscy żołnierze, po wywalczeniu zwycięstwa dla sojuszników, wciąż jeszcze walczą: odpierają najazdy sojuszniczych Trade-Unionów i staczają boje o hostele i odprawy.

Ł. Y. Czakowski.

WŚRÓD LODÓW ANTARKTYDY

W prasie ukazały się niedawno wiadomości o odkryciu złóż uranu w pobliżu bieguna północnego.

Dr. E. W. Bingham, kierownik brytyjskiej ekspedycji, która od czterech lat przeprowadza w Antarktydzie bodania naukowe, twierdzi, że na złoża uranu dotychczas w tych stronach świata nie natrafiano. Antarktyda — olbrzymi kontynent, pokryty lodem i śniegiem — to najmniej zachęcający teren do poszukiwań tak rzadkiego minerału, jakim jest ruda uranowa. Nikt jeszcze nie wie, jakie skarby kryją się pod lodami ziem podbiegunowych, mimo, że szereg ekspedycji pracuje tam od dłuższego czasu.

W r. 1908 część Antarktydy przyłączona została do W. Brytanii. Od tej pory Brytyjczycy stale wysyłają tam ekspedycje, które przeprowadzają pomiary i kreślą mapy tego nieznanego zupełnie zakątka globu, oraz zbierają dane z dziedziny geologii i metereologii.

Na łamach londyńskiego "The Listener" opowiada dr. Bingham o codziennym życiu członków brytyjskiej wyprawy, która wyruszyła do bieguna południowegi przed czteroma laty: Wyprawa składała się wyłącznie z Anglików, ekwipunek również skom-

pletowano w Anglii. Po kilku miesiącach żmudnej pracy i jeszcze żmudniejszej pisaniny biurowej ruszono w drogę.

Wystartowaliśmy — pisze dr. Bingham — z lotniska w Hendon. W Montevideo czekał na nas 300-tonowy statek "Trepassey", który przybył z Nowej Funladii, wioząc na swym pokładzie psy pociągowe dla naszej ekspedycji.

W połowie stycznia przybyliśmy do portu na wyspie Deception. Wspaniały ten port — to krater wygasłego wulkanu. Ale ten wulkan nie całkiem — jak się zdaje — wygasł, bo przy niskim stanie wody z brzegów zatoki unosi się para

Celem naszej wyprawy było m. in. zluzowanie załóg w istniejących już bazach i założenie dwóch nowych baz. Nie taka to łatwa sprawa — założyć bazę pod biegunem południowym. Na całym zachodnim wybrzeżu Kraju Grahama istnieją zaledwie dwa, lub trzy miejsca, nadające się do tego celu. Reszta wybrzeża, to wysokie góry lodowe.

Pierwszą rzeczą przy zakładaniu bazy jest wyładowanie drzewa budulcowego. Gdy drzewo znajdzie się na brzegu, cieśla przystępuje natychmiast do wznoszenia domu przy pomocy kilku ludzi, a reszta członków wyprawy wyładowuje tymczasem odzież, meble, żywność, wogóle wszystko, czego potrzeba będzie załodze bazy. O niczym nie wolno zapomnieć, nawet o najmniejszym drobiazgu, bo gdy okręt odpłynie, a w bazie zabraknie n. p. igieł, nikt nie będzie mógł sobie przyszyć guzika, bo tu nie ma sklepiku na rogu, gdzie możnaby się zaopatrzyć w to i owo w razie potrzeby.

Załoga najmniejszych baz składa się z 4 ludzi. Wszyscy mieszkają w jednym domku, składającym się z przedsionka i jednego obszernego pokoju. Całe umeblowanie — to stół na środku i prycze drewniane pod ścianami

W większych bazach, takich, jak n. p. w Zatoce Nadziei i w Zatoce Małgorzaty, załoga jest liczniejsza, dom przestronniejszy, a urządzenie mniej prymitywne. Tu przeprowadza się badania zebranych obiektów mineralogicznych notuje się meteorologiczne dane, robi się wykresy geologiczne, ale głównym zajęciem jest... jazda na saneczkach. Bardzo wszyscy lubimy ten sport, saneczkujemy jednak nie tylko dla własnej przyjemności; celem naszych wypraw na sankach jest robienie pomiarów i kreślenie map. Zespół saneczkowy składa się z czterech ludzi, a wiezie ze sobą dwa 2-osobowe namioty, instrumenty naukowe i zapasy żywności, które powinny wystarczyć na dwa miesiące.

Przed wyruszeniem w drogę każdy w bazie ma pełne ręce roboty. Trzeba uszyć uprząż na psy i zmontować sanki. Uprząż szyje się z długich sznurów rurkowatego knota do lamp, bo taka uprząż nie uwiera psów i jest bardzo lekka. Płozy sanek, sporządzone z drzewa hickory, i jesionu, konstrukcję górną łączy się wiązadłami z pasków niewyprawionej skóry, dzięki czemu sanki są

elastyczne i odporne na wstrząsy podczas jazdy po lodowatej grudzie. W tym polarnym pustkowiu nie ma żadnych dróżek, czy ścieżek, jedzie się po nietkniętych stopą ludzką załomach lodowca, obfitujących w zdradzieckie szczeliny. Dobrze trzeba uważać, by nie wpaść w taką dziurę, niewidoczną prawie pod cienką pokrywą skorupy śnieżnej. Przy poszukiwaniach możliwej do przebycia drogi trzeba się obwiązywać linami, jak przy wysokogórskiej wspinaczce, gdyż bez zastosowania tego środka ostrożności można zniknąć w otworze, który wyłoni się nagle tuż pod nogami.

Namioty, w których się mieszka we dwójkę, są skórzane i mają podwójne ściany. Podłogę stanowi nieprzemakalna, gruba płachta. Za materac służy skóra renifera, ułożona uwłosioną stroną do góry. Na skórę kładzie się worek do spania. Włazimy w te worki zaraz po wejściu do namiotu i siedzimy w nich przy piecyku naftowym, grzejąc się i gotując strawę.

Nasze gotowanie to nie bardzo skomplikowana sprawa. Na śniadanie — miska porydżu ze sproszkowanym mlekiem, masłem i cukrem, kawałek okrętowego suchara i garnuszek kakao. Obiad — to znów kawał suchara z zamarzniętym masłem i pemikanem i 2 uncje czekolady.

Na kolację mamy też pemikan, ale tym razem nieco inaczej podany. Pemikan, to wysuszona, sproszkowana wołowina, zagotowana z tłuszczem. Masę tę wlewa się w stanie gorącym do puszek, w których po pewnym czasie zastyga. Siedmio-funtowa puszka pemikanu powinna wystarczyć dla dwóch ludzi na dziesięć dni. Kolację sporządzamy w ten sposób: Z bryły pemikanu odłupuje się parę kawałków, wrzuca do rynki, zalewa wodą z roztopionego śniegu, dodaje nieco mąki grochowej i stawia na ogniu. Gdy ta mieszanina zakipi, kolacja gotowa. Całe menu — to tylko talerz gęstej zupy, ale po tej kolacji nikt nie byłby już wstanie niczego przełknąć, tak jest syty.

Kucharzowanie w bazie jest trochę bardziej skomplikowane, niż w namiocie. Tu gotuje się na kuchence węglowej najnowszego systemu. Każdy członek załogi gotuje przez jeden tydzień. System kolejnego kucharzowania wszystkim wychodzi na dobre, bo każdorazowy kucharz robi, co może, by zaćmić swych konkurentów, a na koniec swego tygodniowego dyżuru popisuje się prawdziwą ucztą... Menu zawiera nieraz pięć dań, o ile można kawę uznać za osobne danie. Bywało, że podawano nam do obiadu sałatę i rzodkiewkę, wyhodowaną w naszej cieplarni o podwójnych ścianach szklanych. Jadłospis urozmaicany bywa czasem jajami pingwinów. Pewna baza słynęła w całej Antarktydzie z przepysznych pingwinowych omletów. Jaja pingwinów wyglądają niezbyt smakowicie, ale są wcale niezłe, zresztą w podbiegunowym klimacie wszystko ludziom smakuje — apetyty są niebywałe.

Wieczorami, po powrocie do bazy, każdy ma coś do roboty. Uczeni doprowadzają do porządku swe zbiory i notatki, „saneczkarze“ naprawiają psią uprząż i sanki, każdy koło czegoś dłubie.

Długa noc polarna nie działa tak przygnębiająco, jakby się mogło wydawać. W godzinch południowych zawsze jest nieco światła, tak że można wyruszać na krótkie wyprawy. Światło jest jednak rozprószone i bardzo osobliwe: maskuje nierówności gruntu. Nieraz zdarzało mi się przy tym świetle zderzyć z lodowcem, którego zupełnie nie widziałem, mimo, że był bardzo blisko.

Każdy cieszy się jak dziecko, gdy noc polarna się skończy. Słońce oświetla najpierw tylko wierzchołek pobliskiej góry. Z każdym dniem jasna plama słoneczna rośnie, zsuwa się po stokach coraz niżej, dociera do podnóża góry, aż wreszcie pewnego dnia w okna baraku bazy zagląda po raz pierwszy promień słońca. Niezapomniane to wrażenie.

Tej zimy wyrusza do Antarktydy nowa wyprawa, by zluzować załogi baz i kontynuować ich prace. Może tym razem uda się natrafić na złoża uranu.

("The Listener")

MŁODZI I STARZY

W okresie kryzysu gospodarczego i politycznego mimo woli nasuwa się pytanie: „Jaki jest wogóle pożytek z ludzi starych?“

Młodych mężczyzn potrzebują w kopalniach i na farmach, młode kobiety poszukiwane są przez przędzalnie i inne fabryki produkujące na eksport. My, ludzie starsi nie podołamy takiej pracy. Na co więc możemy się przydać? Co z nami zrobić? Może wywieźć na jakąś bezludną wyspę... byłoby o tyle milionów ludzi mniej do żywienia i odziewania.

Patrząc na tę sprawę bez żadnych sentymentów, zastanówmy się, czy brak paru milionów starych ludzi dałby się odczuć w kraju. Czy życie stałoby się lżejsze, gdyby w kraju została sama młodzież — czy prędzej dałoby się pokonać kryzys?

Młodzież ma energię i zapał, których brak starym. Młodzież jest nadzieją narodu. Ktoś z pośród dzisiejszej młodzieży zostanie kiedyś premierem, ktoś — arcybiskupem Cantenbury, wielu będzie w przyszłości wybitnymi uczonymi, przywódcami stronnictw, znakomitościami w różnych zawodach. Przed młodymi stoi otworem cały świat, przyszłość kryje w sobie najwspanialsze możliwości.

My — starsi — już tych możliwości nie mamy. Co nam dać miało życie, dawno już dało. Czym jesteśmy dzisiaj tym — naogół — będziemy i jutro.

Tak — młodzież jest nadzieją narodu, dużo sobie po niej obiecujemy. Lecz między obietnicą, a jej ziszczeniem zachodzi duża różnica. Mój ogród wyglądał na wiosnę bardzo obiecująco, lecz przyszła jesień — i oczekiwania się nie ziściły.

Co z młodzieży wyrośnie, dopiero czas może pokazać. Z biegiem czasu nabieramy coraz więcej doświadczenia, dochodzimy do pełni rozwoju, a po przekroczeniu pewnej granicy wieku — idziemy na odpoczynek. Ta granica jest jednak rzeczą bardzo względną. Pamiętam czasy, gdy warunkiem uzyskania zajęcia w przemyśle, czy handlu był nieprzykraczalny wiek lat czterdziestu. Dziś już o tym nigdzie się nie słyszy. Coraz więcej ludzi po pięćdziesiątce pracuje w najrozmaitszych dzedzinach. Pełno starszych ludzi na wysokich stanowiskach.

I tu dochodzimy do sedna zagadnienia. Gdyby tak nagle pewnego pięknego dnia znikły nagle bez śladu wszystkie sześćdziesięciolatki, byłoby kłopotu co niemiara. Możemy wygadywać na naszych ministrów i polityków, co nam ślina na język przyniesie, przyznać jednak musimy, że wielkie zadania natury ogólnopaństwowej spoczywają na barkach nie młodzieży, nie mężczyzn w sile wieku, lecz — ludzi starych. Premier, ministrowie, przywódcy opozycji — to wszystko starsi panowie. I chociaż przydałoby się nieco młodej krwi w organiźmie rządowym i parlamentarnym, nie wielu widać młodych, którzy mogliby starych zastąpić.

A jeśli idzie o codzienne życie, zdumienie ogarnia człowieka, gdy widzi, na ilu polach pracy czynne jest pokolenie starsze i najstarsze. Niedawno zaszedłem do małej drukarni w moim rodzinnym miasteczku: przy linotypach, przy maszynie rotacyjnej pracowali wyłącznie ludzie starzy. Nie schodzą jeszcze z areny — trudno znaleźć ludzi, którzy by mogli ich zastąpić.

Zalety młodzieży — to siła, energia, zapał, nowe widnokręgi myślowe.

Egoizm, konserwatyzm, trzymanie się rutyny — to cechy przypisywane starym.

Jak się rzecz ma w istocie? Dużo jest egoistów wśród starych... ale i wśród młodych nie brak. A gdy o kimś mówią: „ten stary samolub", „ten stary zrzęda". czy „ten stary nudziarz", warto zastanowić się, jakimi epitetami darzono tego człowieka za młodu. Bo wszystkie wady starszego pana istniały w zalążku już wtedy, gdy był młodzieńcem. Obecnie wady te dojrzały i więcej biją w oczy.

„Starzy — to ludzie zaskorupiali w swych poglądach, nietolerancyjni, niedostępni dla nowych idei" — mówią młodzi.

Lecz „Hitlerjugend" i „Komsomoł", na których oparły się systemy dyktatorskie — to właśnie młodzież, nietolerancyjna, ślepo wierząca w hasła swoich wodzów, niedostępna dla jakichkolwiek nowych idei .

Pozostawmy jednak na boku te refleksje i pomyślmy, co społeczeństwu dać mogą starzy, a czego nie mogą dać młodzi.

Młodzież nie ma doświadczenia. Przychodzi ono dopiero z czasem, a wraz z nim rośnie zasób wiedzy i umiejętności.

My, ludzie starsi, niezdolni jesteśmy do fizycznych wyczynów, ale ofiarowujemy społeczeństwu coś bardzo cennego: doświadczenie, a poza tym zmysł równowagi i tradycję.

Równowaga jest konieczną korekturą młodzieńczego zapału. Mówienie o tradycji — to rzecz nie bardzo dziś modna, ale bez tradycji nie byłoby więzi społecznej, świadomości narodowej, ogólnenego kierunku polityki.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu: mój trzyletni wnuczek to chłopak bardzo inteligentny i pełen radości życia, nie wie jednak zupełnie o tym, że stanowi cząstkę narodu brytyjskiego. Nie wie, o co biliśmy się w ostatniej wojnie, nie wie nawet, że wogóle była jakaś wojna. Brytyjska narodowość, brytyjski sposób życia, demokracja, prawo i sprawiedliwość — wszystko to jest ściśle związane z tradycją. Każdy naród, każde społeczeństwo, każde stowarzyszenie powstaje, istnieje i rośnie w siły dzięki tradycji.

A piastunem tradycji jest właśnie starsze pokolenie

Pokolenie to przeszło niejedno: byliśmy na wozie i pod wozem, przeżywaliśmy wzloty i upadki, w dwóch wojnach światowych odnosiliśmy zwycięstwa i ponosili klęski znamy okresy ogólnego dobrobytu i powszechnej depresji gospodarczej. Czyż to nie dało naszej generacji doświadczenia, równowagi, szerokich horyzontów myślowych?

Ale — by starzy spełnić mogli swe zadanie, muszą — jak Bernard Shaw, Ernest Bevin, czy Winston Churchill — być młodzi duchem. **(H. D. Wiliams — "The Quiver")**

* * *

Kiedy zaczynamy się starzeć, wchodząc na drogę, wiodącą do grobu?

Tu nie decyduje fakt, że włosy rzednieją, czy siwieją, że wizyty u dentysty stają się coraz częstsze, że w kolanach czasem coś strzyka, a po wejściu na trzecie piętro brak tchu przez chwilę. Nie te sprawy są istotne. Tu decyduje coś innego.

Każdy może być pewny, że się starzeje, gdy zauważy u siebie następujące symptomy:

Zawieranie nowych znajomości przychodzi coraz trudniej. Zaczyna się miotać gromy na młodzież i ubolewać nad ogólnym upadkiem moralności. Coraz częściej wspomina się „stare, dobre czasy". Zaczyna się unikać towarzystwa, zrzędzić na wszystkich, narzekać na nudy. Wszystkich dokoła uważa się za oszustów, kłamców,, skąpców, lub egoistów. Wyrczumiałości na cudze błędy — coraz mniej, a zrzędzenia na cały świat — coraz więcej.

Published by Erroll Publishing Co Ltd., 40 Bruntsfield Place, Edinburgh.
Printed by 'Forty-Four' Publishers & Printers Ltd., Edinburgh.